

Jan Rokita: Nie Monachium, ale „la drôle de guerre”

Po sławetnym piątkowym zebraniu NATO prezydent Zełeński – już dziś będący największym bohaterem naszego czasu, gwałtownie zmienił ton. Już przestał ciepło i dobrodusznie opowiadać, w jakich to przyjacielskich kontaktach jest teraz z Bidenem, Dudą czy Erdoğanem. Zełeński stał się od piątku bohaterem coraz bardziej dla Zachodu niewygodnym. Zaczyna bowiem oskarżać – pisze Jan Rokita.

Nigdy wcześniej nie wierzyłem w sławną przepowiednię prezydenta Lecha Kaczyńskiego z Tbilisi, choć wtedy w 2008 roku byłem pełen podziwu dla jego czynnej postawy wobec rosyjskiej inwazji na Gruzję. To znaczy – przypuszczałem, że Rosja, tak jak bez wielkiej wojny utraciła europejską część swego imperium w roku 1991, tak też wcześniej czy później, znów bez wielkiej wojny w Europie, spróbuje je choćby częściowo odbudować. Nauczony lekturą Gibbona, na zbyt łatwe upadki imperiów patrzyłem ze sceptycyzmem. Nie sądziłem więc (i nie sądzę do dziś dnia), że rosyjskie imperium tej miary, co niegdysiejszy ZSSR, mogło się rozpaść ot tak, jak domek z kart, bez żadnej faktycznie woli obrony. Co najmniej od sławnej monachijskiej mowy Putina z roku 2007 zakładałem zatem, że reconquista musi nadejść, jak tylko Rosja odzyska poczucie pewności siebie, po czasie wielkiej smuty z lat 90 XX wieku. Ale w mojej głowie powinna to być reconquista bez wielkiej wojny w Europie.

Po pierwsze dlatego, że odzyskując pewność siebie, Rosja dysponowała przecież coraz silniejszymi, nazwijmy je tak – „politycznymi” narzędziami do przeprowadzenia reconquisty: dywersją, propagandą, presją ekonomiczną, szantażem energetycznym, a w końcu niezliczonymi wariantami operacji „hybrydowych” (jak choćby ta z roku 2014 na Krymie). A skoro tak, to po drugie – po cóż miałyby ryzykować wielką wojną w Europie, której cena dla samej Rosji musiałaby przecież okazać się w każdych warunkach bardzo wysoka. Zwłaszcza w przypadku zbrojnego najazdu na Ukrainę. To przecież akt równoznaczny z podpaleniem kulturowych, politycznych i religijnych korzeni samej Moskwy, dla której wszystkie one wyrastają nie gdzie indziej, jak z Świętej Rusi Kijowskiej. A taka schizma, wywołana wojną i jej okrucieństwami – to nieuchronny tożsamościowy szok dla Rosji, druzgocącej swoje korzenie, a nie Ukrainy – dla której stają się one tym bardziej wartościowe i własne, bo okupione męczeństwem i krwią.

*Przepowiednia Lecha
Kaczyńskiego głosi, że skoro
upadnie Ukraina, to następne
będą państwa bałtyckie*

Więc spodziewałem
się raczej
„politycznego”
odwojowywania
Gruzji, Mołdawii,
Białorusi, Ukrainy. A
gruzińską ponurą

przepowiednię prezydenta traktowałem jako metaforę, mającą ostrzegać przed takim właśnie scenariuszem. Nie wierzyłem zwłaszcza w tę kluczową część przepowiedni, w której prezydent złowieszczo zapowiadał, iż po Gruzji, Ukrainie i krajach bałtyckich „przyjdzie być może również czas na mój kraj”. Byłem zawsze pesymistą co do niebezpieczeństwa odrośnięcia kolejnego łba moskiewskiej hydry, ale nie aż do tego stopnia, bym zakładał groźbę sięgnięcia przez nią na

powrót do samego środka Europy. Do dziś dnia nie mam pewności, czy sam Lech Kaczyński nie traktował wtedy w Tbilisi swych słów w taki właśnie sposób; a więc że nie były one w istocie przestrożą przed przyszłą groźbą inwazji na Polskę.

Jednak patrząc drugi tydzień na bieg zdarzeń na Ukrainie, nabrałem przekonania, że mój swoisty „optymistyczny pesymizm” był naiwnością, a przepowiednię z Tbilisi należało zawsze rozumieć w sposób najbardziej złowieszczy. Czyli tak, że jeśli Putin sprawdzi, iż może „hybrydowo” zagarnąć troszeczkę, to sięgnie zbrojnie po więcej. A jeśli sprawdzi, że może wojną wziąć więcej, to wywoła większą wojnę, ażeby wziąć wszystko. Z bardzo dawnych lat utkwiło mi w pamięci zdanie, które napisał nieoceniony Leopold Unger (chyba w belgijskiej „Le Soir” dla której wtedy pracował), po rozpoczęciu sowieckiej napaści na Afganistan w roku 1979. Cytuję je z pamięci, ale jestem pewien, że jest to pamięć dokładna. „Świat w końcu winien zdać sobie sprawę – pisał Unger – że strategią rosyjskiego imperializmu jest znaleźć coś, co jest słabsze, zaś jego taktyką – pożreć to jak najprędzej”.

Prawdę mówiąc, całe dzieje Rosji, od końca pierwszej wielkiej smuty z początku XVII wieku, aż po nadejście drugiej smuty z końca wieku XX, winny nas były utwierdzać w przekonaniu, że to właśnie Unger celnie zdefiniował sedno rosyjskiego poglądu na świat. Że zatem dzisiejszy Putin nie jest jakimś niezrozumiałym fenomenem, który z racji „obłądu” (niektórzy szukają nawet właściwej jednostki psychiatrycznej dla jego zdefiniowania) wepchnął nieszczęsną Rosję w okrutną wojnę. Że historycznie rzecz ujmując, jest najzupełniej przeciwnie. Putin napadający Ukrainę i nakazujący wyrzynać jej mieszkańców, zbuntowanych przeciw rosyjskiemu panowaniu w ich kraju – to

ucieleśnienie politycznego ducha Rosji. I ostatni w długiej galerii mrocznych rosyjskich portretów: Aleksego, Piotra, Katarzyny, Mikołaja, Lenina, Stalina i Breżniewa.

Kiedy w piątek 4 marca, zaciskając dłonie na poręczach mojego fotela, oglądałam na ekranie telewizora konferencję prasową NATO, po „wojennym” brukselskim zebraniu paktu, mam dojmujące poczucie *déjà vu*. Że ja to po prostu wszystko znam, bo już dawno temu czytałem, widziałem, słyszałem. „To nie jest nasza wojna” – powtarza do znużenia sekretarz generalny paktu Stoltenberg, w imieniu wszystkich trzydziestu państw członkowskich, w tym także Polski. My NATO – to przecież musimy dbać o światowy pokój. I gdyby dopiero w przyszłości ten pokój był zagrożony, ooo tak... to wtedy pokażemy prawdziwe kły: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego! Ale na razie, póki Rosja wyrzyna Ukraińców? To nie jest jeszcze ta wojna, o której mówimy. Dlatego nie damy Ukraińcom samolotów, o które błagają. Nie zaprowadzimy zakazu lotów rosyjskich bombowców nad Ukrainą, choć z rozpaczą w głosie błaga o to prezydent Zełeński. Na odczepnego damy im (jak ujawnił „Der Spiegel”) post-enerdowskie pociski, które nie chcą się już ze starości odpalać. No i będziemy politycznie i gospodarczo „ostrzeliwać” Putina, ale też tylko na tyle, żeby nie przyszło mu czasem do głowy nie sprzedawać nam dalej gazu, węgla i ropy. To, czego mamy pod dostatkiem i w każdej ilości, będąc paktem wojskowym, to współczucie i nawoływania do pokoju. Współczucia na pewno nie pożałujemy Ukrainie, zaś nawoływań – Putinowi.

Czy to się różni od licznych przypadków „zdrady Zachodu”, tak dobrze znanych nam z historii? Od niektórych trochę się różni, od innych bardzo mało. To nie jest z pewnością „nowe Monachium”. Bo są dwie zasadnicze różnice, jedna na plus, druga na minus dzisiejszego

*O Polskę, tak bym był gotów
dzisiaj sądzić, rozpocznie się
już prawdziwa wielka wojna*

Zachodu. Na plus
różni Stoltenberga,
Bidena, Scholza,
Dudę to, że moralnie
nie żyrują okupacji
Ukrainy, jak ich
poprzednicy sprzed

niecałego wieku podżyrowali okupację Czechosłowacji. Ale na ich minus przemawia fakt, iż tamto wkroczenie okupanta odbyło się niemal pokojowo, a nie w okolicznościach mordów i bombardowań, które zaczęły się dopiero rok później. Chamberlain i Daladier nie oglądali na ekranach, tak jak Biden, Scholz i Duda, bombardowań osiedli mieszkaniowych, oblegania wielomilionowych miast, morza uciekinierów. W pewnym sensie musiało być im łatwiej o zdradę. Dzisiejsza postawa Zachodu bardziej przypomina późniejszą o rok „la drôle de guerre”, towarzyszącą inwazji na Polskę. Wtedy przywódcy Zachodu mieli już świadomość niszczonej Warszawy i rozpoczynającej się fali zbrodni wojennych. I zareagowali podobnie jak ich dzisiejsi następcy: ostrzałem politycznym agresora i spuszczeniem nań „żelaznej kurtyny” – czyli sankcjami, decyzją o umocnieniu linii Maginota – czyli współczesnej „wschodniej flanki”, a nawet małymi wypadami zbrojnymi. No i przede wszystkim fałą współczucia dla Polaków. Prawdę mówiąc, samego zdumiały mnie oczywiste analogie obydwu sytuacji.

Przepowiednia Lecha Kaczyńskiego głosi, że skoro upadnie Ukraina, to następne będą państwa bałtyckie. To zapewne nie zdarzy się jutro, najpierw Putin musi terrorem doprowadzić do pacyfikacji Ukrainę. Tam teraz bardzo dużo patriotów – trzeba ich będzie wyróżnić, bo wygląda na to, że ani nie mają ochoty kapitulować, ani uciekać na Zachód. Stoltenberg, Biden, Scholz i Duda będą mieć jeszcze sporo okazji do

uczuciowych konferencji prasowych; aż im będzie słów na nich brakować ze wzruszenia. Zobaczycie, to wcale nie jest tak odległe w czasie. A jak Rosja przystąpi w końcu do zajęcia Mołdawii (już ostatecznie teraz skazanej), a potem do zbrojnej obrony swoich rodaków, „ludobójczo zabijanych” na Łotwie i w Estonii, myślicie, że cokolwiek będzie wyglądać inaczej niż dzisiaj? Mało prawdopodobne. Parę tygodni wcześniej, na wszelki wypadek zabrani zostaną żołnierze niemieccy i amerykańscy, aby nadmiernie nie ryzykować pokojem dla „miliarda mieszkańców krajów NATO”, jak w piątek tłumaczył w Brukseli Stoltenberg. A resztą tam się i tak wszystko dokona w dwa dni, więc nawet nie będzie czasu, aby uruchomić „szpicę” na „wschodniej flance”.

O Polskę, tak bym był gotów dzisiaj sądzić, rozpocznie się już prawdziwa wielka wojna. Czyli będzie lepiej niżli we wrześniu 1939. Tyle tylko, że gdyby służyć logiki, zawartej w gruzińskiej przepowiedni, to tej wojny dałoby się prawdopodobnie uniknąć. Jak? To oczywiste, ratując Ukrainę. Przecież milion razy politycy u nas powtórzyli, że ponoć „nie ma wolnej Polski bez wolnej Ukrainy”. Czy zatem to był tylko kłamliwy slogan? Logika jest niby dobrze znana, ale realna polityka ma do siebie to, że każdorazowo w historii musi się ją na nowo potwierdzać. Czy tak musi być i tym razem? Jeszcze całkiem niedawno odpowiedziałbym sam sobie: nie musi. Bo we współczesnych realiach politycznych, które sprawiły tak głębokie współzależności państw nawzajem od siebie, choćby w dziedzinie ekonomicznej, są inne, lepsze od wielkiej wojny narzędzia zyskiwania politycznej dominacji. Owszem są, Niemcy są tym krajem, który najlepiej dowodzi, że tak jest istotnie. Ale dziś już wiem, że moja wieloletnia polityczna kalkulacja, iż to logicznie eliminuje w Europie wielkie i zmasowane wojenne inwazje, jako narzędzie zdobywania potęgi, była z gruntu naiwna. Po spodziewanym upadku Kijowa wierzyć w to nadal, będzie

oznaczało nic więcej, jak wierzyć w jakieś ciemne przesady współczesnego umysłu. To podstawowy wymóg higieny umysłu – umieć dostosowywać własne myślenie do twardych faktów.

Teraz nadchodzi to, co najgorsze. Po tym sławetnym piątkowym zebraniu NATO prezydent Zełeński – już dziś będący największym bohaterem naszego czasu, gwałtownie zmienił ton. Już przestał ciepło i dobrodusznie opowiadać, w jakich to przyjacielskich kontaktach jest teraz z Bidenem, Dudą czy Erdoğanem. Już nie udaje naiwniaka apelującego do moskiewskiego tyrana, aby zaprosił go do stołu, bo on „przecież nie gryzie”. Zełeński stał się od piątku bohaterem coraz bardziej dla Zachodu niewygodnym. Zaczyna bowiem oskarżać. „Dziś NATO dało zielone światło na dalsze bombardowania Ukrainy” – mówi. „O czym myśleliście na tym waszym posiedzeniu?” – pyta. „Wiedźcie, że ci, którzy dziś zginęli, zginęli ze względu na wasze decyzje” – oskarża. Być może Stoltenberg, Biden, Scholz i Duda myśleli, że Zełeński da się grzecznie zabić w Kijowie, cały czas dziękując za ciepłe słowa, jakie pod jego adresem padały dotąd z Zachodu. Dziś jest jasne, że jeśli tak myśleli, to byli w błędzie. Teraz czeka ich czas słuchania klątw rzucanych na Europę i Amerykę przez ludzi skazanych na bohaterską śmierć. Te klątwy będą upiornym głosem z zaświatów ciążyć nad nami przez długie lata.

Jan Rokita

Foto:POOL / Reuters / Forum

Fundacja Świętego Mikołaja od 2019 roku pomaga dzieciom z Mariupola na wschodzie Ukrainy. Pomóż dzieciom i przekaż darowiznę: mikolaj.org.pl/Ukraina lub na konto: Fundacja Świętego Mikołaja numer: 37 2130 0004 2001 0299 9993 0002 z dopiskiem: darowizna na pomoc dzieciom na Ukrainie